BIOGRAFIA PEWNEGO GRIZZLY

z ilustracjami autora

(The Biography of a Grizzly)

Ernest Thompson Seton

Tłumaczenie: Andrzej Ziółkowski

Książkę tę poświęcam pamięci dni spędzonych w górach Wind River i nad Graybull, gdzie polując, szukając złota i doświadczając wszystkiego na własnej skórze, zebrałem wiedzę o życiu Wahba.

Spis rysunków

Część I
SZCZENIĘCE LATA WAHBA

I.

Wahb urodził się ponad dwadzieścia lat temu, w głębi najdzikszej części Dzikiego Zachodu, na szczycie Little Piney, ponad którym dziś znajduje się ranczo Palette.

Jego Matka była zwykłą Srebrną Niedźwiedzicą, która prowadziła spokojne życie, jakie każdy Niedźwiedź najbardziej lubi, zajmując się swoimi sprawami i wypełniając swe rodzinne obowiązki, nie prosząc nikogo o nic z wyjątkiem tego, by zostawiono ją w spokoju. Był lipiec, gdy zebrała swoją wielką rodzinę i poprowadziła w dół Little Piney do Graybull i pokazała młodym niedźwiadkom gdzie rosną poziomki i jak można je znaleźć.

Wbrew głębokiemu przekonaniu ich Matki, szczenięta nie były ani znacząco duże ani specjalnie zaradne; jednak była to duża rodzina, ponieważ szczeniąt było czworo, a nieczęsto Mama Grizzly mogła poszczycić się więcej niż dwoma szczeniętami.

Okryte puszystym futerkiem, małe stworzenia przeżywały swój wspaniały okres i zabawiały się w ten czas zachwycającego górskiego lata obfitującego w przeróżne dobra. Ich Matka obracała każdy leżący stary pień albo płaski kamień jaki napotykali, a w chwili, gdy to robiła, cała czwórka rzucała się jak stadko małych warchlaków, aby wyłapać wszystkie ukrywające się pod nimi mrówki i pędraki.



Rysunek 1: *"Cała czwórka rzucała się jak stado małych warchlaków."*

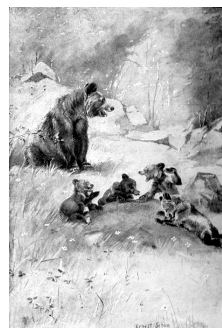
Ani razu nie przyszło im do głowy, że siły mogłyby zawieść Matkę a ogromna skała mogłaby upaść gdy znajdowali się pod nią; nie brali w ogóle pod uwagę tego, że przypadkiem to ogromne ramię i kark skrywane pod wspaniałym żółtawym futrem mogłoby ześliznąć się. Nie, nie; to ramię nigdy nie mogło zawieść. Szczeniaki miały całkowitą rację. A więc rzucały się drapieżnie, na łeb na szyję, pod każdy nowy pień, prześcigając się nawzajem, popiskując i powarkując, jakby rzeczywiście były warchlakami, psami czy kotami złączonymi w jedną całość.

Były już dobrze zaznajomione z powszechnymi małymi brązowymi mrówkami, które ukrywały się pod pniami przewróconych drzew na równinie, ale tym razem po raz pierwszy wyruszyli na jedno ze wzgórz wielkiej, obfitej, krainy soczystych leśnych mrówek, i kręciły się dookoła, wyłapując wszystkie, które próbowały im uciec. Ale

wkrótce zorientowały się, że zamiast na mrówki trafiają na kolce kaktusów i ziarenka piasku, aż ich Mama powiedziała do nich w niedźwiedzim języku: "Pokażę wam jak to robić".

Zgarnęła szczyt jednego z mrowisk i położyła swą wielką łapę płasko na ziemi na kilka chwil, a gdy rozzłoszczone mrówki zaczęły wbiegać na nią, zlizała je wszystkie jednym pociągnięciem języka, napełniając sobie usta chrupiącym smakołykiem bez jednego nawet ziarenka piasku albo żądła kaktusa. Szczeniaki szybko się nauczyły. Każdy położył swoją małą łapkę, tak że utworzyły krąg, jak w dziecięcej zabawie, i oblizywały kolejno najpierw prawą potem lewą, albo szturchały tego, który siedział obok aby zlizać jego kąski, aż mrowisko zostało oczyszczone i niedźwiadki były gotowe na zmianę miejsca.

Mrówki są suchym pożywieniem, sprawiły więc, że szczenięta stały się spragnione, a więc dorosła samica powiodła ich do rzeki. Gdy napiły się do woli i wymoczyły swoje łapy, ruszyły w dół wzdłuż brzegu rzeki w kierunku sadzawki, gdzie Niedźwiedzica wypatrzyła swym bystrym okiem sporą ilość węgorzy połyskujących na dnie. Woda w tym miejscu płynęła powoli, nie licząc bystrzyn pomiędzy głębszymi miejscami, Mama więc powiedziała do swoich młodych:



Rysunek 2: *"Utworzyły krąg, jak w dziecięcej zabawie."*

"A teraz wszystkie usiądźcie tam na brzegu i nauczcie się czegoś zupełnie nowego."

Najpierw weszła do wody w płytkim krańcu sadzawki wzburzając kłęby mułu, który zalegał w stojącej wodzie, i pchnęła gęstą zawiesinę w kierunku bystrzyn. W tej samej chwili przebiegła brzegiem na drugi koniec sadzawki i wskoczyła do wody z największym pluskiem jaki tylko mogła zrobić. Ryby tłoczyły się w tym końcu sadzawki, ale ten nagły plusk wpędził ich w panikę i popłynęły na ślepo prosto w chmurę mułu. Wśród pięćdziesięciu ryb zawsze znajdzie się trochę głupich i pół tuzina z nich popędziło przez mętną wodę prosto w bystrzynę i zanim się zorientowały, nurt rzucił je na kamienistą płyciznę. Stara Grizzly wyrzuciła je łapą na brzeg i małe niedźwiadki dorwały się z wrzaskami do tego zabawnego, podobnego do węża posiłku, który nie mógł już uciekać i bełkocząc objadały się aż ich małe brzuchy wyglądały jak balony.

Najadły się tak bardzo a słońce przygrzewało już tak mocno, że wszystkie poczuły się senne. Matka Niedźwiedzica poprowadziła je więc do spokojnej małej dolinki, i gdy tylko ułożyła się na ziemi, zaległy wokół niej i zasnęły z ich małymi brązowymi łapami zwiniętymi pod siebie i małymi czarnymi noskami wciśniętymi pod ich futerka, chociaż dyszały z gorąca, jakby był bardzo zimny dzień.

Po godzinie albo dwóch zaczęły ziewać i przeciągać się, wszystkie z wyjątkiem małego Fuzza, najmniejszego z rodzeństwa, który wystawił tylko na chwilę swój ostry nosek, a potem z powrotem wtulił się między wielkie łapy Matki, był bowiem łagodnym, rozpieszczanym maleństwem. Największy, ten, którego poznaliśmy jako Wahba, rozciągnął się na plecach i zaczął zaczepiać sterczący korzeń, pomrukując pod nosem gdy go pociągał, albo uderzał łapą, bo nie pozostawał tam, gdzie Niedźwiadek chciał, aby pozostał. Zaraz Mooney, psotnik, zaczął ciągnąć uszy Frizzle'a za co oberwał po swoich. Zaczęli się szamotać; wkrótce, mała, żółta, kudłata kulka, poturlała się po

trawie dalej i dalej, i zanim się zorientowali, stoczyli się w dół po brzegu w kierunku rzeki, i znikli reszcie z oczu.

Niemal natychmiast rozbrzmiał wrzask małych zapaśników, wzywających pomocy. W ich głosach słychać było prawdziwe przerażenie. Musiało pojawić się jakieś poważne zagrożenie.

Łagodna Matka poderwawszy się, zmieniła się w prawdziwego demona, i wypadła na brzeg rzeki na czas, by zobaczyć wielkiego Bawołu, który zapamiętale atakował coś, co niewątpliwie wziął za żółtego psa. W jednej chwili mogło być już po Frizzle'im, który stracił oparcie na brzegu dla swoich łap; ale nagle rozległ się tętent potężnych stóp, który przeraził nawet wielkiego Byka i, jak skacząca ogromna kula żółtego futra, Mama Grizzly dopadła go. Jego! Władcę stada, pana wszystkich tych równin, czy on mógł się czegoś lękać? Wydał z siebie niski bojowy warkot i ruszył aby zepchnąć Niedźwiedzicę na brzeg rzeki; ale gdy skoczył, by rozszarpać ją swymi błyszczącymi rogami, zadała mu celny cios i zanim zdążył się otrząsnąć, siedziała mu już na karku, rozdzierając jego skórę swymi przerażającymi szczękami.

Byk zawył z wściekłości, skoczył i stanął dęba, pociągając za sobą Matkę Grizzly; wtedy, gdy staczał się ciężko po zboczu, puściła go, by ratować samą siebie a Byk potoczył się do rzeki.

Było to pomyślne dla niego zrządzenie losu, bo Grizzly nie miała zamiaru go tam ścigać; więc brodząc, wydostał się na brzeg po drugiej stronie rzeki i charcząc z gniewu i bólu, pobiegł by dołączyć do stada, którego był przewodnikiem.

II.

Stary pułkownik Pickett, król hodowców bydła, właśnie dokonywał objazdu swojego rancza. Wczorajszej nocy obserwował księżyc w nowiu, schodzący ponad białym szczytem Picketta.

"Widziałem ostatni nów księżyca nad szczytem Franka," powiedział, "i szczęście mi nie dopisywało przez cały miesiąc; teraz będzie po mojej stronie."

Następnego ranka jego dobra passa się rozpoczęła. Z Waszyngtonu nadszedł list przychylający się do jego prośby utworzenia biura poczty na jego ranczu i zawierający uprzejme pytanie, "Kogo poleca na nowego pocztomistrza?"

Pułkownik zdjął z ramienia swój nowy samopowtarzalny karabin model 45-90. "Czemu nie," powiedział; "to mój miesiąc"; i skierował konia na Graybull aby sprawdzić czy ze stadem wszystko w porządku.

Gdy przejeżdżał pod górą Rimrock, usłyszał odległy hałas, jakby walka byków, ale nie myślał o tym na razie, aż okrążył to miejsce i ujrzał na płaskowyżu poniżej sporą grupę bydła wzbudzającą kurz kopytami i ryczącą jak zazwyczaj robią, gdy czują krew jednego z członków stada. Pułkownik szybko zauważył, że wielki Byk - Przewodnik, jest cały pokrwawiony. Jego grzbiet i boki zostały rozdarte jakby szponami kuguara, a łeb sponiewierany niczym po walce z innym bawołem.

"Grizzly," warknął pułkownik, ponieważ znał góry. Szybko odnalazł ślad pozostawiony przez krwawiącego Byka i podążył nim w kierunku wysokiej skarpy, skąd miał lepszy widok. Znajdowała się ona po drugiej stronie żwirowego brodu Graybull, nieopodal ujścia Piney. Jego koń z pluskiem przekroczył zimną wodę i zaczął nerwowo wspinać się na przeciwległy brzeg.

Gdy tylko głowa jeźdźca wynurzyła się ponad skarpę, jego dłoń chwyciła karabin, bo tam, na otwartej przestrzeni, dostrzegł nie jednego, ale pięć Niedźwiedzi Grizzly, dorosłą samicę z czterema szczeniętami. "Uciekajcie do lasu!" Warknęła Matka Grizzly,

ponieważ widziała, że człowiek miał broń. Nie żeby obawiała się o samą siebie; ale trwoga o swoje szczenięta nie dawała jej spokoju. Ruszyła aby poprowadzić je w gąszcz drzew nad Lower Piney. Ale straszny, morderczy huk rozbrzmiał w powietrzu.

Trzask! I Matka Grizzly poczuła postrzał niosący śmierć.

Trzask! I biedny mały Fuzz potoczył się krzycząc z bólu i znieruchomiał.

Z wrzaskiem wściekłości i furii, Matka Grizzly obróciła się by zaatakować napastnika.

Trzask! I poczuła, że paraliżuje ją śmiertelna rana na karku. A trzy małe szczenięta, nie wiedząc co robić, pobiegły w stronę Matki.

Trzask! Trzask! Mooney i Frizzle, obaj padli w śmiertelnej agonii u jej boku, a Wahb, przerażony i oszołomiony, biegał w kółko wokół nich. Nagle, sam nie wiedząc dlaczego, obrócił się i pognał w leśną gęstwinę znikając, gdy ostatni trzask pozostawił go z piekącym bólem i złamaną tylną łapą.

✢ ✢ ✢ ✢ ✢

Właśnie dlatego nowa placówka pocztowa została nazwana *Cztery Niedźwiedzie*. Pułkownik zdawał się zadowolony ze swego dzieła; przyznał to sam przed sobą z aprobatą.

A nieco dalej, w lasach Anderson’s Peak, można było tej nocy spotkać jedno małe szczenię Grizzly, wałęsające się i utykające, pozostawiające za sobą krwawe ślady za każdym razem, gdy próbowało stąpnąć swą zranioną łapą; skowytało: “Mamo! Mamo! Och, Mamo, gdzie jesteś?” Bo było mu zimno i był głodny, a łapa bolała tak bardzo. Ale Matka nie przychodziła, a on nie miał odwagi, by wrócić tam, gdzie ją pozostawił, włóczył się więc bez celu pomiędzy sosnami.

Nagle wyczuł zapach jakiegoś obcego zwierzęcia i usłyszał stąpanie ciężkich stóp; nie wiedząc, co zrobić, wspiął się na drzewo. W następnej chwili stado dużych, z długimi szyjami i smukłymi nogami zwierząt, większych od jego Matki, zbliżyło się do drzewa. Widział je raz wcześniej i wtedy nie bał się ich, ponieważ był ze swoją Matką. Ale teraz siedział cicho w gałęziach, gdy jelenie zatrzymały się by skubać trawę wokół drzewa, a następnie odeszły i znikły mu z oczu.

Pozostał na drzewie aż do następnego poranka, a wtedy zrobiło mu się tak zimno, że z ledwością udało mu się zejść. Ale ciepłe słońce już wzeszło i poczuł się lepiej, gdy nieopodal odnalazł trochę jagód i mrówek, ponieważ był bardzo głodny. Potem powrócił nad Piney i włożył swą poranioną łapę do lodowatej wody.



Rysunek 3: *“Pozostał na drzewie aż do następnego poranka.”*

Chciał uciekać w góry, ale czuł, że musi pójść do miejsca, gdzie pozostawił swą Matkę i Braci. W rozgrzanym, popołudniowym powietrzu, pokuśtykał w dół strumienia, poprzez zarośla, a następnie nad brzeg Graybull, aż dotarł do miejsca, gdzie wczoraj mieli ucztę z ryb; z apetytem zaczął chrupać rybie łby i ości, które znalazł. Ale wiatr przyniósł też jakąś inną, straszną woń. Przeraził się, a gdy dotarł do miejsca, gdzie ostatni raz widział swą Matkę, woń stała się jeszcze straszniejsza. Obejrzał uważnie całe miejsce i zobaczył dużo Kojotów, rozrywających coś w swych kłach. Co to było, nie wiedział; ale nie zobaczył Matki, a woń, która go przyprawiała o mdłości i budziła trwogę była tutaj najsilniejsza, więc po cichu

obrócił się w kierunku gęstwiny leśnej Lower Piney i nigdy więcej nie wrócił już, by szukać swojej rodziny. Potrzebował Matki tak samo bardzo jak wcześniej, ale coś mu mówiło, że już jej nigdy nie zobaczy.

Gdy nadeszła zimna noc, tęsknił za nią mocniej i mocniej, i skomlał utykając, nieszczęśliwy, samotny, mały, osierocony Niedźwiadek – nie zagubiony w górach, bo nie miał domu, którego musiałby szukać, ale tak chory i samotny i cierpiący z powodu bólu w łapie, spragniony matczynego mleka, którego już nigdy nie miał zakosztować.

Tej nocy natrafił na pusty, zwalony pień drzewa i wczołgawszy się do środka, próbował marzyć, że wielkie, pokryte futrem ramię jego Matki otula się wokół niego. Skomlał sam do siebie aż zasnął.

III.

Wahb, zawsze był smutnym małym Niedźwiadkiem; a szereg nieszczęść, które go spotkały w czasie, gdy jego umysł dopiero się kształtował, uczyniły go posępnym i przygnębionym. Zdawało się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Starał się trzymać na uboczu w wyższych rejonach lasów Piney, zdobywając pożywienie w dzień i odpoczywając nocą w pustym konarze. Ale jednego wieczoru zastał swą kryjówkę zajętą przez Jeżozwierza, wielkiego jak on sam i najeżonego kolcami jak krzak kaktusa. Wahb nie mógł nic poradzić. Musiał porzucić swój konar i poszukać innej kryjówki.

Pewnego dnia zszedł w dolinę Graybull aby wykopać trochę korzeni, które Matka nauczyła go wyszukiwać. Ale zanim na dobre wziął się do pracy, jakieś szarawe zwierzątko wyłoniło się z nory i naskoczyło na niego sycząc i warcząc. Wahb nie wiedział, że to Borsuk, ale widział, że jest to zajadłe zwierzę wielkości takiej samej, jak on. Był osłabiony i wciąż utykał, więc wycofał się, powłócząc nogą i nie zatrzymał się aż dotarł na grzbiet sąsiedniego wzgórza. Tu zobaczył go Kojot, i susami podążył za nim, zwołując jednocześnie innych do wspólnej zabawy. Wahb był w pobliżu drzewa, więc wspiął się na gałęzie. Kojoty pod drzewem podskakiwały i skowytały, ale ich nosy podpowiedziały im, że gonią młodego Grizzly i szybko zrozumiały, że mały Grizzly na drzewie oznacza, że Matka Grizzly jest niedaleko, więc będzie lepiej, gdy zostawią go w spokoju.

Gdy Kojoty odeszły Wahb zszedł z drzewa i powrócił nad Piney. Nad Graybull było więcej pożywienia, ale wszystko tam zdawało się być przeciwko niemu odkąd opuściła go ukochana Matka, podczas gdy nad Piney miał przynajmniej od czasu do czasu trochę spokoju, a poza tym było tam dużo drzew, na które mógł się wdrapać aby schronić przed wrogiem.

Jego złamana łapa długo się goiła; tak naprawdę nigdy nie wydobrzała zupełnie. Rana się zagoiła i ból przeminął, ale pozostał skurcz, który sprawiał, że lekko utykał, a kłąb stopy zrósł się nieco inaczej niż u drugiej łapy. Szczególnie dokuczało mu to, gdy musiał szybko wspinać się na drzewo albo umykać przed napastnikami, których nigdy nie brakowało, choć czasami napotykał też przyjaciół. Gdy stracił Matkę, stracił największego i jedynego przyjaciela. Nauczyłaby go dużo więcej, niż musiał się nauczyć gorzko doświadczając wszystkiego i uchroniłaby go przed większością przykrości, które go spotkały w jego szczenięcych latach - przykrości tak licznych i dotkliwych, że gdyby nie jego wrodzona twardość, nie udałoby mu się przeżyć.

Sosny tego roku rozwinęły się bujnie i wiatry zaczęły strząsać dojrzałe, soczyste nasiona. Życie Wahba stało się nieco łatwiejsze. Przybyło mu zdrowia i tężyzny, a zwierzęta, które napotykał w ciągu dnia, umykały przed nim. Ale pewnego poranka,

gdy zajadał się nasionami po minionej zawierusze, z góry zszedł wielki Czarny Niedźwiedź. “Nie ma przyjaciół w lesie”, tego Wahb zdążył się już nauczyć. Wspiął się na najbliższe drzewo. Z początku Czarny Niedźwiedź był wystraszony bo czuł w powietrzu zapach Grizzly; ale gdy zobaczył, że to tylko szczeniak, nabrał odwagi i zaczął warczeć na Wahba. Potrafił się wspinać na drzewa tak samo dobrze jak mały Grizzly, a może nawet szybciej i wyżej niż Wahb, więc Czarny Niedźwiedź podążył jego śladem, a gdy Wahb schronił się na najcieńszej i najwyższej gałęzi, jaka mogła go utrzymać, bezlitośnie strząsnął go na ziemię, gdzie padł posiniaczony, potłuczony i na wpół zamroczony. Szybko otrząsnął się i oddalił i skomląc, a jedyne, co powstrzymało Czarnego Niedźwiedzia przed podążeniem za nim i być może zabiciem go, była obawa, że dorosły Grizzly mógł znajdować się w pobliżu. W ten sposób Wahb został przepędzony w dół strumienia i pozbawiony dobrych sosnowych nasion.

W tym czasie nad Graybull nie było za wiele pożywienia. Jagody już się niemal skończyły; nie było ryb ani mrówek do schwytania i Wahb, zraniony, samotny i nieszczęśliwy, wędrował coraz dalej aż dotarł do Meteetsee. Za nim pojawił się, przeskakujący po zagonach bylicy i poszczekujący Kojot. Wahb próbował biec, ale nie był w stanie prześcignąć Kojota, który wkrótce zrównał się z nim. Wtedy, w nagłym porywie zdesperowanej odwagi Wahb obrócił się i zaatakował swego wroga. Zaskoczony Kojot zawył przerażony raz czy dwa i uciekł z ogonem podwiniętym pod siebie. W ten sposób Wahb nauczył się, że atak jest ceną, jaką trzeba zapłacić za spokój.

Ale okolica była uboga w pożywienie; było tu za dużo bydła; a gdy Wahb skierował się w stronę odległego lasu sosnowego, ujrzał człowieka, takiego samego jak w ten tragiczny dzień. W tym samym momencie usłyszał odgłos strzału i kępka bylicy zaterkotała i upadła tuż za jego plecami. Wszystkie straszne wonie i niebezpieczeństwa tego dnia powróciły w jego pamięci i Wahb uciekał tak, jak jeszcze nigdy przedtem.

Wkrótce dotarł do rowu, który doprowadził go do wzgórz. Szczelina między dwiema skałami mogła dać mu schronienie, ale gdy skierował się w tę stronę, drogę zastąpiła mu Preriowa Krowa, która trzęsła swoim łbem i charczała groźnie.

Uskoczył w bok pod długi pień drzewa leżący na brzegu, ale tu natychmiast dziki Ryś pojawił się u drugiego końca konaru i zmusił go do wycofania się. Nie było czasu na kłótnię. Wahb gorzko odczuł, że świat jest pełen wrogów. Ale zawrócił i wspiął się na skalisty brzeg, podążając w kierunku sosnowego lasu, który graniczył z korytem rzeki Meteetsee.



Rysunek 4: *"Dziki ryś... zmusił go do wycofania się."*.

Leśne Wiewiórki pierwsze wyczuły jego obecność i zaczęły przeraźliwie ujadać. Myślały o swoich sosnowych nasionach. Wiedziały, że ten Niedźwiedź przyszedł by wykraść ich zapasy więc nie odstępowały go na krok i próbowały go przepędzić, wszczynając ogromny rwetes, który, jak miały nadzieję, przyciągnie uwagę któregoś z jego naturalnych wrogów.

Nie było tu więcej nikogo, ale wrzask sprawił, że Wahb poczuł się niespokojny i poddenerwowany. Podążył więc dalej aż dotarł do leśnej gęstwiny, gdzie nie było wielu wrogów, ale też nie było za wiele pożywienia, i tutaj, na granicy kraju górskich owiec, znalazł wreszcie szansę na wytchnienie.

IV.

Wahb nigdy nie był łagodnym niedźwiadkiem, a prześladowania licznych wrogów sprawiały, że stawał się coraz bardziej zgorzkniały. Dlaczego nie mogli go zostawić w spokoju w jego niedoli? Dlaczego wszyscy sprzysięgli się przeciwko niemu? Gdyby tylko Matka wróciła! Gdyby mógł zabić tego Czarnego Niedźwiedzia, który przegnał go z jego lasu! Nie wiedział jeszcze, że pewnego dnia, on sam będzie dorosłym, wielkim Grizzly. Większym od zawziętego rudego Rysia; większym od człowieka, który próbował go zastrzelić. Nie zapominał o nikim, a wszystkich nienawidził.

Wahb w nowym żerowisku znalazł sporo pożywienia, bo był to urodzajny rok dla nasion. Nauczył się tego, czego Wiewiórki obawiały się najbardziej, jego węch prowadził go do miejsc, gdzie zbierały one duże ilości nasion na zimowe zapasy. Był to przykry dla Wiewiórek a szczęśliwy dla Wahba traf, ponieważ nasiona były prawdziwym przysmakiem. A gdy dni stawały się coraz krótsze, a w nocy zaczął pojawiać się przymrozek, Wahb przytył i zmężniał.

Przemierzał teraz całą okolicę, żyjąc przeważnie w wyższych partiach lasu, ale schodząc czasami w poszukiwaniu pożywienia niemal do samej rzeki. Pewnej nocy, gdy brodził przez głęboką wodę, jego nozdrza wychwyciły jakiś osobliwy, nowy zapach. Wystarczająco ponętny, aby Niedźwiedź podążył tym tropem nad skraj wody. Woń zdawała się dochodzić z na wpół zatopionego konaru. Nagle, gdy zbliżył się do tego miejsca, rozległ się szczęk i jedna z jego łap uwięzła w żelaznych kleszczach do chwytania bobrów.



Rysunek 5: *"Wahb zawył i szarpnął się do tyłu."*

Wahb zawył i szarpnął się do tyłu z całych sił, łamiąc kij, na którym umocowane były sidła. Spróbował je strząsnąć, a potem pobiegł przez krzaki ciągnąc sidła za sobą. Próbował je przegryźć; ale one pozostawały niewzruszone, zimne, mocne i niezniszczalne. Bez ustanku szarpał je zębami i szczękami, albo uderzał nimi o ziemię. Zakopał je w piachu i próbował wspiąć się na drzewo mając nadzieję, że się od nich uwolni, ale one wciąż szczękały raniąc jego ciało. Uciekł do swojego lasu i usiadł, starając się z nich uwolnić. Nie wiedział co to jest, ale jego małe zielono-szare oczy patrzyły z mieszaniną bólu, lęku i wściekłości, gdy próbował zrozumieć swojego nowego wroga.

Położył się pod krzewami i, próbując zniszczyć szczęki, przycisnął je wolną łapą podczas gdy zęby zacisnął na drugim końcu, a gdy przydusił je mocniej, żeby się nie wyśliznęły, szczęki się rozchyliły, uwalniając łapę. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności, że udało mu się przycisnąć dwie sprężyny na raz. Nie rozumiał jak działają szczęki, ale nie zapomniał tej nauki, wyciągając z niej dość mglisty wniosek: "Nad wodą czai się mały, straszny wróg, który czeka na swoją ofiarę. Rani łapę i jest zbyt twardy aby go zranić. Ale można się go pozbyć mocno ściskając."

Przez tydzień albo dłużej, mały Grizzly miał dwie zranione łapy, ale ta druga rana nie była aż tak dokuczliwa, jeśli nie było konieczności wspinania się na drzewo.

Rozpoczął się okres, gdy Łosie zbierały się na rykowisku w górach. Wahb słyszał je co noc i raz albo dwa musiał wycofywać się, gdy w pobliżu pojawił się wielki rogaty Byk. Był to też czas, gdy traperzy zapuszczali się w góry a Dzikie Gęsi wrzeszczały nad głową. W lesie pojawiło się też trochę nowych zapachów. Wahb podążył raz za jednym z takich zapachów, który doprowadził go do miejsca, gdzie znalazł stosy małych gałęzi; wtedy poczuł zmieszany z wonią, która go tu przywiodła, zapach znienawidzony -

zapach, który pamiętał z dnia, kiedy stracił Matkę. Węszył dookoła ostrożnie, bo znienawidzona woń nie była zbyt silna, i zorientował się, że dochodziła ona z odległego miejsca, podczas gdy ta druga, która wzbudziła u niego apetyt, dolatywała z zarośli poza tym miejscem. Okrążył więc je, rozchylił zarośla i sięgnął po nagrodę, kawałek mięsa, a gdy podniósł je, drewniany pal upadł przed nim z głuchym łoskotem. Wahb uskoczył i wymknął się z pułapki, nie porzucając zdobyczy. Oddalił się szybko, rozważając dawną myśl, która stała się teraz jeszcze bardziej mocna: "Gdy ta znienawidzona woń pojawia się nieopodal, zawsze wróży kłopoty."

Gdy powietrze stawało się coraz zimniejsze, Wahb zrobił się bardzo senny; sypiał teraz całymi dniami, gdy było mroźno. Nie miał żadnego legowiska do spania; znał wiele suchych miejsc na ciepłą pogodę i jedno albo dwa schronienia na czas deszczu. Miał bardzo wygodne gniazdko pod korzeniem i pewnego dnia, gdy zaczęło wiać i rozpadał się śnieg, wczołgał się tam, zwinął w kłębek i zasnął. Zawieja szalała na zewnątrz. Śnieg sypał i sypał. Zalegał na sosnowych gałęziach aż opadał pod własnym ciężarem i znowu je zasypywał. Przeszedł nad górami i zasypał wąwozy, ośnieżył szczyty i zbocza i wypełnił puste doliny. Ponad leżem Wahba usypał wysoką zaspę, odgradzając w ten sposób miejsce od podmuchów zimnego wiatru, od padającego śniegu. Wahb spał i spał.

V.

Spał bez przerwy całą zimę, bo takie są zwyczaje Niedźwiedzi, a gdy nadeszła wiosna i obudziła go, wiedział, że spał bardzo długo. Nie zmienił się zbytnio - urósł nieco, ale też zeszczuplał. Obudził się bardzo głodny, i przecierając drogę do świata poprzez ciągle zalegający nad jego leżem śnieg, wyszedł w poszukiwaniu pożywienia. Nie było już nasion sosny ani jagód ani mrówek; ale nos Wahba poprowadził go w górę, gdzie znalazł szczątki padłego zimą Łosia, część zjadł a resztę zakopał na później.

Dzień po dniu powracał w to miejsce aż zapasy się wyczerpały. Przez następne parę miesięcy pożywienia było niewiele, i gdy Łoś został zjedzony, Wahb stracił całe sadło, z którym się obudził. Jednego dnia poszedł w górę i dotarł nad Divide w dolinie Warhouse. Było tam ciepło i słonecznie, roślinności było pod dostatkiem i znalazł tam dużo pożywienia. Posuwał się wolno w stronę gęstwiny, gdy nagle poczuł zapach innego Grizzly. Woń wzmagała się i doprowadziła go do samotnego drzewa przy Szlaku Niedźwiedzim. Wahb podniósł się na zadnich łapach by obwąchać drzewo. Woń była bardzo silna, a drzewo pokryte błotem i fragmentami niedźwiedziej sierści wyżej niż mógł dosięgnąć; Wahb zrozumiał, że musiał tu być jakiś bardzo duży samiec, który ocierał się o drzewo. Poczuł się niespokojny. Wcześniej tęsknił za tym, aby spotkać kogoś ze swojego gatunku, jednak teraz, gdy pojawiła się taka szansa, ogarnął go lęk.

Nikt nie okazywał mu niczego prócz nienawiści w jego samotnym, pozbawionym ochrony życiu i nie wiedział czego mógłby się spodziewać po tym dorosłym Niedźwiedziu. Gdy tak stał nękany niepewnością, dostrzegł starego Grizzly podążającego ociężałym krokiem wzdłuż wzgórza, zatrzymującego się od czasu do czasu aby wykopać jakieś korzenie albo dzikie rzepy.

Był ogromny. Wahb instynktownie poczuł, że nie może mu zaufać i wymknął się chyłkiem poprzez gęsty las i wdrapał się na skaliste urwisko skąd mógł bezpiecznie obserwować.

Wkrótce wielki samiec natrafił na ślad Wahba i wydał z siebie głęboki pomruk gniewu; podążył tropem do drzewa i wspiąwszy się na zadnie łapy zdarł z drzewa kawałek kory swoimi pazurami, znacznie wyżej niż Wahb mógł dosięgnąć. Potem

wielkimi krokami, z pośpiechem, podążył dalej śladem Wahba. Ale młody Niedźwiedź rozumiał już wystarczająco dużo. Umknął więc poza Divide do wąwozu Meteetsee i wywnioskował na swój mętny, niedźwiedzi sposób, że tutaj znajdzie spokój, bo było tu niewiele pożywienia dla Grizzly.

Gdy nadeszło lato, jego futro zmieniło odcień. Skóra stała się nieznośnie swędząca, i znalazł przyjemność w tarzaniu się w błocie i w ocieraniu się grzbietem o te drzewa, które się do tego najlepiej nadawały. Teraz już się nie wdrapywał gałęzie: jego pazury stały się zbyt długie a jego ramiona, chociaż urosły i wzmocniły się, utraciły tę giętkość stawów, która sprawia, że młode Grizzly i wszystkie Czarne Niedźwiedzie tak dobrze potrafią się wspinać. Teraz, w naturalny sposób, przyswoił sobie ten niedźwiedzi zwyczaj patrzenia jak wysoko może dosięgnąć z nosem uniesionym w górę, gdy tylko znalazł się w pobliżu drzewa.

Być może nie zauważał tego, ale za każdym razem, gdy w odstępie tygodnia czy dwóch, sięgał w górę pod jakimś drzewem, sięgał wyżej, ponieważ Wahb rósł szybko i równie szybko nabywał siły.

Czasami trafiał na jeden koniec swojej okolicy i czuł tam swój zapach, czasem trafiał na drugi, a że często używał do ocierania się pni drzew, znaczył w ten sposób swoje terytorium zapachem właściwym tylko jemu samemu.

Pewnego dnia, późnym latem, dostrzegł obcego na swoim terytorium, lśniącego Czarnego Niedźwiedzia i poczuł wściekłość w stosunku do intruza. Gdy Czarny Niedźwiedź podszedł bliżej, Wahb zauważył brązowo-czerwony pysk, białą plamę na piersi i kawałek odgryzionego ucha, a wreszcie wiatr przyniósł jego woń. Nie mogło być żadnych wątpliwości; to był ten sam zapach: to był ten sam czarny łotr, który przegonił go znad Piney dawno temu. Ale jak bardzo teraz był skurczony! Wcześniej, przypominał olbrzyma; teraz Wahb czuł, że może go zmiażdżyć jedną łapą. Zemsta jest słodka, poczuł Wahb, chociaż nie uświadomił sobie tego tak wyraźnie, i ruszył na tego Czerwono-nosego Niedźwiedzia. Ale ten wdrapał się na małe drzewo szybko jak Wiewiórka. Wahb próbował wdrapać się za nim, ale jakoś nie dał rady. Zdawało się, że teraz nie wie jak się to robi, więc po chwili dał sobie spokój i odszedł, chociaż Czarny Niedźwiedź drwił sobie z niego kilkakrotnie pokasłując. Później, tego samego dnia, gdy Grizzly przechodził obok tego miejsca, Czerwono-nosego już tam nie było.

Gdy lato miało się ku końcowi, górne żerowiska stawały się jałowe, i Wahb zmuszony był zejść niżej do Meteetsee. Nocą, by zbadać teren. W powietrzu czuł przyjemny aromat, a podążając za nim, Wahb dotarł do miejsca gdzie znalazł martwego młodego wołu. W dość znacznej odległości kręciło się kilka małych Kojotów, karłów w porównaniu z tymi, które pamiętał. Tuż przy padlinie znajdował się jeszcze jeden, który podskakiwał w świetle księżyca w dziwny, nienaturalny sposób. Z jakichś powodów nie był w stanie uciekać. Dawna nienawiść odżyła w Wahbie. Skoczył na Kojota. W ułamku sekundy Kojot kilka razy ugryzł go, zanim Wahb, jednym uderzeniem łapy pozbawił go siły i energii; następnie pogruchotał mu kości swoimi szczękami. Och, jak miło było poczuć smak świeżej, gorącej krwi sączącej się między jego zębami!

Kojot był uwięziony w potrzasku. Wahb nienawidził zapachu żelaza, więc odszedł na drugą stronę martwego cielaka, gdzie woń metalu nie była tak silna, i zdążył zjeść tylko kawałek, gdy usłyszał szczęk i jego stopa uwięzła w potrzasku na Wilki, jakiego wcześniej nie widział.

Ale pamiętał, że raz już został w ten sposób schwytany, i że udało mu się oswobodzić ściskając potrzask. Przyłożył tylną łapę na sprężyny i przyciskał aż szczęki rozwarły się i uwolniły stopę. Wokół padliny unosił się zapach, który znał jako zapach człowieka,

więc porzucił mięso i podążył w dół strumienia; ale tam coraz bardziej wyczuwał ten przerażający zapach, więc zawrócił i skierował się w stronę swojego terytorium.

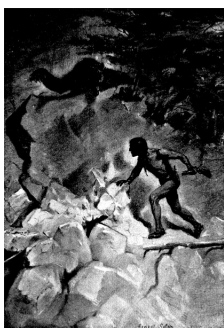
Część II
DNI POTĘGI

I.

Trzecie lato Wahba ukształtowało jego ciało w postać dużego Niedźwiedzia, chociaż nie był to jeszcze największy rozmiar, jaki miał osiągnąć. Miał bardzo jasną sierść i właśnie dlatego Spahwat, Indianin z plemienia Szoszonów, który nie raz tropił go, nazwał go Białym Niedźwiedziem, co w jego języku brzmi Wahb.

Spahwat był dobrym myśliwym, więc gdy tylko znalazł ślady ocierania się na drzewach w górnej Meteetsee, wiedział, że wszedł na terytorium wielkiego Grizzly. Przetrząsnął całą dolinę i spędził wiele dni zanim nadarzyła się okazja do strzału; wtedy właśnie Wahb zyskał piekącą ranę na karku. Zawarczał przeraźliwie, ale na tym jednym strzale się skończyło; wspiął się na wierzch doliny i, przemykając pomiędzy niższymi pagórkami, dotarł do spokojnego miejsca, gdzie mógł się bezpiecznie położyć.

Jego umiejętność leczenia ran była czysto instynktowna. Lizał ranę i ciało dookoła niej i starał się zachować spokój. Lizanie usunęło brud, a masując mięśnie zmniejszył stan zapalny, sierść skleiła się nad raną jak plaster, chroniąc ją przed powietrzem, brudem i zarazkami. Trudno by znaleźć lepszą kurację.



Rysunek 6: *"Wymierzył straszny, druzgocący cios."*

Ale Indianin nie dał za wygraną. Na długo zanim mógł dostrzec człowieka, zapach ostrzegł Wahba, że zbliża się wróg, więc po cichu wspiął się wyżej w góry w poszukiwaniu nowego miejsca odpoczynku. Ale znowu wyczuł woń zbliżającego się Indianina i po raz kolejny musiał się wycofać. Powtarzało się to kilka razy aż w końcu pojawił się drugi strzał i druga rana. Wahb wpadł w furię. Nic nie przerażało go bardziej niż ten wstrętny zapach człowieka, żelaza i odgłos strzałów, które zapamiętał z dnia, gdy stracił Matkę i rodzeństwo; ale teraz wszystkie te lęki opuściły go. Dźwignął się z bólem i ponownie skierował w stronę wzgórz, wzdłuż szerokiego na sześć stóp skalnego występu, potem w górę i z powrotem na szczyt urwiska, gdzie położył się płasko na ziemi. Leżał, gdy nadszedł Indianin, uzbrojony w nóż i broń; zręcznie i szybko podążający tropem; przemykający radośnie nad każdą krwawą plamą, która znaczyła cierpienia dla tropionego Niedźwiedzia. Podszedł wprost pod stok pękniętej skały, gdzie Wahb, wściekły z bólu, czekał na szczycie skalnego występu. Patrzył ukradkiem

na zawziętego myśliwego, który cały czas wpatrywał się w ślady na ziemi i ani razu nie spojrzał w górę ponad występ. Więc Wahb, gdy zobaczył tę zbliżającą się śmierć, nieugięcie kroczącą jego tropem i czując znienawidzony zapach, zapanował całym swym wysiłkiem nad drżącym pokaleczonym ramieniem, i odczekał na odpowiedni moment, a wtedy do wrodzonej siły swoich łap dodał całą moc pełnej desperacji nienawiści, i wymierzył straszny, druzgocący cios. Indianin zamarł z przerażenia ale uskoczył, a potem zniknął z oczu Wahba. Wahb uniósł się i po raz kolejny wyszukał ciche miejsce, gdzie mógł wyleczyć rany. W ten sposób po raz drugi przekonał się, że trzeba walczyć o własny spokój; ponieważ nigdy więcej nie spotkał tego Indianina, i miał czas by odpocząć i wrócić do sił.

II.

Lata mijały podobne do pierwszych, z tą tylko różnicą, że każdej zimy Wahb spał bardziej czujnie, a każdej wiosny budził się wcześniej i stawał się coraz większym Grizzly, z mniejszą liczbą wrogów, którzy mieliby śmiałość przeciwstawić się mu. Gdy osiągnął wiek sześciu lat, stał się wielkim, silnym, ponurym Niedźwiedziem, bez przyjaciół i rodziny przez całe swoje życie od tego przeklętego dnia nad Lower Piney.

Nikt nigdy nie słyszał, by Wahb miał partnerkę. Nikt nie wierzył, że mógłby kiedykolwiek mieć. Pora godowa Niedźwiedzi przychodziła i odchodziła rok po roku, ale pozostawiała go samotnego w kwiecie wieku, samotnego jakim był od swych najwcześniejszych lat. Nie jest dobre dla Niedźwiedzi być samotnikami; jest to pod każdym względem złe. Jego zwykłe przygnębienie wzrastało wraz z jego siłą i każdy, kto w tym czasie miałby okazję go spotkać, nazwałby go naprawdę groźnym Grizzly.

Żył w dolinie Meteetsee odkąd po raz pierwszy się tam zjawił, a jego charakter ukształtowały liczne małe przygody z potrzaskami i dzikimi wrogami z gór. Ale teraz nie było nikogo, kogo by się lękał, wiedział też, że przenikliwy zapach człowieka i żelaza był nieomylnym ostrzeżeniem, zwłaszcza po doświadczeniu, którego zaznał właśnie wtedy, gdy miał sześć lat.

Jego wierny węch podpowiedział mu, że w gęstwinie znajduje się martwy Łoś. Ustawił się pod wiatr i upewnił się, że jest to zapach bardzo smakowitego mięsa, czekającego w bardzo dogodnym miejscu. Wyczuwał tam też ten znienawidzony zapach człowieka i żelaza, ale woń była tak słaba a mięso kuszące, że po krótkim przeglądzie padliny z wysokości swoich ośmiu stóp, tyle bowiem mierzył, gdy stał wyprostowany na zadnich łapach, ruszył ostrożnie przed siebie i natychmiast jego lewa łapa ugrzęzła w ogromnym potrzasku na Niedźwiedzie. Ryknął z bólu, zaczął ciskać się na wszystkie strony. Ale to nie był potrzask na Bobry; były to wielkie czterdziestofuntowe szczęki, które schwytały go na dobre.

Wahb zapienił się z wściekłości i szaleńczo zazgrzytał zębami o metal. Nagle przypomniał sobie wcześniejsze przygody. Umieścił potrzask między tylnymi łapami z jedną stopą na każdej sprężynie i zaczął przyciskać z całej siły. Ale szczęki trzymały zbyt mocno. Pociągnął więc pułapkę razem z mocującą ją kłodą i poczłapał ze szczękiem w górę. Raz za razem starał się oswobodzić swoją łapę, ale wszystko na próżno, aż dotarł do miejsca, gdzie wielki zwalony pień przegradzał szlak kilka stóp nad ziemią. Przypadkiem, albo tknięty szczęśliwą myślą, spróbował jeszcze raz rozewrzeć szczęki opierając się plecami o leżący pień. Z zadnimi łapami na sprężynach i potężnym karkiem wspartym o pień, nacisnął ze swą tytaniczną siłą: mocne stalowe szczęki puściły, potrzask zwolnił zacisk i uwolnił łapę. W ten sposób Wahb znowu był

wolny, chociaż stracił w szczękach jeden z palców, który został odcięty przez metal w momencie, gdy wszedł w pułapkę.

Po raz kolejny Wahb miał bolesną ranę do wyleczenia, a ponieważ był leworęcznym Niedźwiedziem - to znaczy, gdy miał zamiar przewrócić kamień opierał się na prawej łapie a obracał lewą - jednym ze skutków aktualnej niemocy było to, że został pozbawiony na pewien czas wszystkich tych łatwych w zdobyciu smakołyków, które mógłby znaleźć pod kamieniami i zwalonymi kłodami drzew. Rana ostatecznie się zagoiła, ale on nigdy nie zapomniał tej przygody i od tego czasu zapach człowieka i żelaza, nawet bez zapachu broni palnej, jeszcze bardziej doprowadzał go do wściekłości.

Wiele doświadczeń przekonało go, że lepiej jest wycofać się, gdy tylko poczuje się zapach myśliwego albo usłyszy go z oddali, ale gdy znajdzie się zbyt blisko trzeba walczyć do upadłego. Kowboje z okolicznych rancz szybko nauczyli się, że Górna Meteetsee to terytorium Niedźwiedzia, którego lepiej zostawić w spokoju.

III.

Pewnego dnia, po dłuższej przerwie, Wahb zszedł w dolne części swojego terytorium i ze zdziwieniem zauważył jedną z drewnianych budowli, jakie budują ludzie. Gdy okrążył to miejsce by wychwycić zapachy, wyczuł woń, która zawsze doprowadzała go do wściekłości, a chwilę później usłyszał głośny trzask i poczuł żądlące uderzenie w tylnej lewej łapie, tej od dawna zdrętwiałej. Obrócił się w czas, by zobaczyć człowieka biegnącego w kierunku nowo zbudowanej chaty. Gdyby strzał trafił go w kark, byłoby już po nim, ale los zrządził inaczej.

Miał potężne ramiona, którymi mógł ciskać sosnowe pnie jak trzonki od miotły, łapy, którymi potrafił jednym ciosem powalić najtęższego Byka z rancza, pazury, którymi mógł oderwać wielki kawał skały ze zbocza góry - cóż mógł dla niego znaczyć, choćby i niosący śmierć, karabin!

Gdy wspólnik tego człowieka wrócił do chaty wieczorem, znalazł go leżącego we krwi na podłodze w chacie. Krwawy ślad wiodący z zewnątrz i litery zapisane drżącą ręką na skrawku papieru wyjaśniały wszystko.

“To zrobił ten Biały Niedźwiedź. Zobaczyłem go nad strumieniem i postrzeliłem go. Próbowałem uciec do chaty, ale dopadł mnie. Mój Boże, jak cierpię. Jack.”

Wszystko miało swoją logikę. Człowiek najechał terytorium Niedźwiedzia, próbował go zastrzelić, ale Niedźwiedź zabił jego. Tylko że wspólnik Jacka poprzysiągł, że zastrzeli tego Niedźwiedzia.

Odnalazł ślad i podążył nim w górę zbocza, kryjąc się i skradając dzień po dniu. Zakładał sidła i potrzaski, i wreszcie pewnego dnia usłyszał trzask, szczęk, grzmot, gdy wielki kawał skały potoczył się w dół w stronę lasu, wystraszając stadko jeleni, które pomknęły jak puch ostu na wietrze. Miller początkowo uważał, że było to osunięcie się ziemi; ale szybko się przekonał, że był to Wahb, który zerwał głaz aby wydobyć spod niego dwie czy trzy mrówki.

Wiatr nie zdradzał jego obecności, tak więc, wypatrując poprzez krzaki, Miller widział wielkiego Niedźwiedzia gdy jadł, ostrożnie wspierając się na lewej tylnej łapie i pomrukując ponuro do siebie gdy odczuwał w niej świeży ból. Miller usadowił się nieruchomo i pomyślał: “Oto strzał, który go położy, albo będzie moim ostatnim.” Zagwizdał ostro, Niedźwiedź znieruchomiał i stanął nasłuchując, a człowiek wystrzelił mierząc w jego łeb.

Ale w tym samym momencie wielki, kędzierzawy łeb poruszył się odbierając tylko niegroźny ale budzący furię postrzał, a dym zdradził miejsce, gdzie ukrywał się

człowiek, i Grizzly wykonał dziki skok na trzech zdrowych łapach by dopaść swego wroga.

Miller porzucił karabin i wspiął się szybko na drzewo, jedyne wystarczająco duże, które znajdowało się w pobliżu. Wahb na próżno uderzał w pień. Zdzierał korę zębami i pazurami; Miller pozostawał bezpieczny poza jego zasięgiem. Przez cztery pełne godziny Grizzly czatował, potem zrezygnował i powolnym krokiem poczłapał pomiędzy krzaki aż zniknął człowiekowi z oczu. Miller obserwował go z drzewa i czekał jeszcze godzinę, aby upewnić się, że Niedźwiedź odszedł. Następnie zszedł na ziemię, zabrał karabin i ruszył w stronę chaty. Ale Wahb był bystrym Niedźwiedziem; tylko udawał, że odchodzi, by zaraz powrócić i obserwować. Gdy tylko człowiek odszedł od drzewa, zbyt daleko by zdążył wrócić, Wahb rzucił się za nim. Pomimo swoich ran Niedźwiedź mógł biec bardzo szybko. Jakieś ćwierć mili dalej... Cóż, Wahb zrobił dokładnie to, co człowiek obiecywał, że zrobi jemu.

Długi czas potem znajomi znaleźli karabin i wystarczająco dużo śladów, by przekazać innym historię Millera.

Chata dwóch górników nad Meteetsee rozpadła się. Nigdy więcej nie była zamieszkana, bo żaden człowiek nie zamierzał wkraczać na teren, który wydawał się zbyt mało bogaty w cenny kruszec by przyćmić swą złą sławę i gdzie tak przerażający Grizzly był nieustannie na wojennej ścieżce.

IV.

Potem ludzie odkryli dobre złoto nad górną Meteetsee. Górnicy przybywali parami i wałęsali się między pagórkami, przekopując ziemię i niszcząc małe strumienie - byli to zazwyczaj posiwiali, starsi ludzie, którzy prowadząc swoje życie w górach, powoli coraz bardziej upodabniali się do Szarych Niedźwiedzi; kopiąc i ryjąc wszędzie, nie po to by znaleźć dobre, zdrowe korzenie, ale ten lśniący, żółty piasek, który nie nadawał się do jedzenia; wiedli to swoje niedźwiedzie życie nie prosząc nikogo o nic, pragnąc jedynie kopać w spokoju.



Rysunek 7: *"Spójrz, jaki jest wielki."*

Zdawali się rozumieć Wahba. Po raz pierwszy, gdy się spotkali, Wahb wyprostował się na zadnich łapach a w jego oczach zaczęły migotać złowieszcze zielone błyskawice. Starszy z mężczyzn powiedział do swego wspólnika:

- Zostaw go w spokoju, a nie zrobi ci krzywdy.

- Spójrz, jaki jest wielki, - odparł nerwowo drugi.

Wahb był bliski tego, żeby się na nich rzucić, ale coś go powstrzymywało – coś, czego nie potrafił wytłumaczyć swoimi zmysłami, coś, co czuł tylko wtedy, gdy tamci pozostawali nieruchomo; coś, co w Niedźwiedziu i u człowieka jest mądrzejsze niż jego rozum, coś, co pokazuje drogę na każdym niepewnym zakręcie ponurych i pogmatwanych szlaków życia.

Oczywiście Wahb nie rozumiał co mówili mężczyźni, ale czuł, że jest w tym coś innego niż agresja. Była tam woń człowieka i żelaza, ale nie tego znienawidzonego rodzaju, nie wyczuwał tego kłującego zapachu, który przywoływał w jego pamięci najczarniejsze wspomnienia z jego szczenięcych lat.

Mężczyźni stali nieruchomo więc Wahb wydobył z siebie przytłumiony pomruk, opadł na cztery łapy i odszedł.

Później, tego samego roku, Wahb natknął się na czerwononosego Czarnego Niedźwiedzia. Jakże on się jeszcze bardziej skurczył! Wahb mógłby przerzucić go na drugi brzeg Graybull jednym machnięciem łapy.

Ale Czarny Niedźwiedź nie zamierzał na to czekać. Wciągnął swoje tłuste, pękate ciało na drzewo z takim pośpiechem, że aż się zasapał. Wahb dosięgnął z ziemi na wysokość dziewięciu stóp i jednym szarpnięciem swoich ogromnych pazurów zdarł korę aż do lśniącej, białej tkanki drzewa niemal do samej ziemi; a Czarny Niedźwiedź trząsł się i piszczał z przerażenia, bo skrobanie tych strasznych pazurów po pniu drzewa, tak blisko jego grzbietu, budziło najgorsze przeczucia.

Co sprawiało, że widok tego Czarnego Niedźwiedzia doprowadzał Wahba do takiego szału? Czy było to wspomnienie znad górnej Piney, dawno porzuconej; wspomnienie o lasach bogatych w pożywienie?

Wahb pozostawił go tam, trzęsącego się, tak wysoko, jak zdołał się wspiąć, i bez żadnego jasnego planu pokołysał się, idąc wzdłuż brzegów Meteetsee, w dół, w stronę Graybull, okrążając górę Rimrock; kilka godzin później znalazł się w gęstwinie nad dolną Piney, pomiędzy jagodami i mrówkami, które pamiętał z dawnych lat.

Zapomniał już, jak wspaniałym miejscem była Piney: dostatek pożywienia, żadnych górników niszczących strumienie, żadnych myśliwych, których trzeba by się było wystrzegać, i żadnych komarów i much, ale za to dużo otwartych, słonecznych polan i gęstwiny wspaniale nadającej się na schronienie, z jednej strony graniczącej ze stromym zboczem odbijającym chłodniejsze podmuchy wiatru. Co więcej, nie było tam żadnych Grizzly, nawet śladu, aby tędy przechodziły, a Czarne Niedźwiedzie, które władały okolicą, nie miały najmniejszego znaczenia.

Wahb był całkowicie usatysfakcjonowany. Wytarzał swe ogromne ciało w błocie i otarłszy się o drzewo, stojące w rozwidleniu dolin Piney i Graybull, pozostawił swój ślad na wysokości pełnych ośmiu stóp od ziemi.

W kolejnych dniach wędrował dalej i dalej pomiędzy poszarpanymi pagórkami kraju Szoszonów i znaczył teren własnymi śladami. Natrafił na ślady kilku Czarnych Niedźwiedzi, a gdy pozostawione były na małych, uschniętych drzewach, powalał je na ziemię jednym uderzeniem swojej ogromnej łapy. Jeśli drzewa były żywe, kładł własny znak na starym i podkreślał swój ślad zdzierając korę wielkimi pazurami.

Górna Piney była tak długo w posiadaniu Czarnych Niedźwiedzi, że Wiewiórki zaprzestały ukrywania swych zapasów w pustych drzewach i wykorzystywały teraz do tego celu szczeliny pod płaskimi skałami, gdzie Czarne Niedźwiedzie nie mogły ich dostać; tak więc dla Wahba był to kraj obfitości: każda czwarta albo piąta skała w sosnowym lesie okazywała się dachem spiżarni jakiejś Wiewiórki albo Amerykańskiego Pręgowca, a gdy wywracał je na drugą stronę, jeśli mały właściciel znajdował się tam, Wahb bez skrupułów zgniatał go i dodawał jako smakołyk do swoich własnych zapasów. I gdziekolwiek Wahb dotarł, pozostawiał swoją wiadomość dla innych:

PRZECHODNIU, STRZEŻ SIĘ!

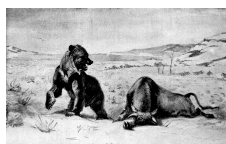
Było to wypisane na drzewach tak wysoko, jak tylko mógł sięgnąć i każdy, kto przechodził obok rozumiał, że ten zapach i kosmyki sierści przyklejone do kory mogą należeć tylko do wielkiego Niedźwiedzia Grizzly - Wahba.

Gdyby jego Matka żyła i wychowywała go, Wahb wiedziałby, że dobry teren wiosną, może być zły zimą. Wahb uczył się tego poprzez lata doświadczenia, i wiedział

że całkowita zmiana miejsca, wraz ze zmieniającą się porą roku, jest najlepszym wyjściem. Wczesną wiosną, tereny wypasu bydła i żerowania Łosi, ze szczątkami padłych zimą zwierząt, były obszarami obfitymi w pożywienie. Wczesnym latem najlepsze żerowiska znajdowały się na ciepłych zboczach gór, gdzie rośnie indiańska rzepa i inne smakowite korzenie. Późnym latem jeżynowe krzaki porastające brzegi rzeki są pełne owoców, a jesienią lasy sosnowe dają dobrą okazję do nabrania sadła przed zimą. Tak więc poszerzał swoje terytoria z każdym rokiem. Nie tylko przepędzał znad Piney i Meteetsee Czarne Niedźwiedzie, ale dotarł do rozwidlenia i zabił tego starego samca, który swego czasu przepędził go z doliny Warhouse. A co więcej, umiał utrzymać to, co zdobył, gdy udało mu się przepędzić nowych osadników, którzy szukali miejsca na założenie rancza nad środkową Meteetsee; przepłoszył ich konie i obrócił w ruinę całe obozowisko. W ten sposób zwierzęta, ale także ludzie, nauczyli się, że cały rejon od Frank's Peak do kraju Szoszonów, był królestwem Władcy, który potrafił je obronić, a imię tego władcy brzmiało Wahb znad Meteetsee.

Każde stworzenie, którego siła pozwala na odparcie wszelkiego otwartego ataku, jest słabe na podstępne knowania. Jednak Wahb nigdy nie zapominał swoich wczesnych doświadczeń z potrzaskami. Jedną z jego zasad było nie podchodzić blisko do miejsc, gdzie dało się wyczuć woń człowieka i żelaza, i dzięki temu nigdy więcej nie dał się usidlić.

W ten sposób wiódł swe samotnicze życie i człapał ociężale po okolicznych górach, przerzucając głazy jak małe kamyczki a ogromne konary jak zapałki, gdy szukał dla siebie pożywienia. I każdy zwierz zamieszkujący góry albo równiny szybko nauczył się, że najlepiej umykać w trwodze przed Wahbem, tym niegdyś zaszczutym i prześladowanym przez wszystkich szczeniakiem. I niejeden Czarny Niedźwiedź przypłacił życiem za grzech tego jednego sprzed wielu lat. I niejeden zajadły Ryś, który natknął się na niego, uciekał w popłochu na drzewo, a gdy drzewo okazywało się stare i spróchniałe, Wahb powalał je i rozrywał na kawałki a Dziki Kot dzielił los drzewa, na którym próbował się schronić. Nawet dumny Ogier, przewodnik stada Mustangów, pewnego razu uznał, że lepiej zejść mu z drogi. Wielkie szare Leśne Wilki i Kuguary podobnie, pozostawiały swe świeże zdobycze i umykały w trwodze gdy tylko zbliżał się Wahb. I gdy tak przechodził ociężale wzdłuż porośniętych szałwią brzegów rzeki, wprawiając w dziki popłoch grupę Antylop, które umykały przed nim jak spłoszone stado ptaków, pewnego razu natknął się na tęgiego Bawołu z rancza, zbyt młodego, żeby się mądrze wycofać i zbyt silnego aby się lękać, Wahb roztrzaskał jego czaszkę jednym ciosem swej potężnej łapy i odpłacił pięknym za nadobne to, w jaki sposób dawniej Byki traktowały jego.



Rysunek 8: *"Roztrzaskał jego czaszkę jednym ciosem."*

Matka natura nigdy nie zawodzi w obdarzaniu swoich dzieci podwójnym darem, z jednej strony goryczą, a z drugiej balsamem. Jedni piją z tych pucharów mniej inni więcej, ale zawsze po równo. Choć łatwo jest schodzić z góry, potem trzeba się na nią na nowo wspinać. Ciężkie doświadczenia Wahba z jego wczesnych lat, ukształtowały jego potężną postać. Wszystkie zwykłe przyjemności życia Niedźwiedzia Grizzly były mu nieznane, ale moc, jaką zyskał, odpłaciła mu się w dwójnasób.

I tak żył z roku na rok, bez towarzyszki życia ani przyjaciela, ponury, niczego się nie lękający, gotowy walczyć, i proszący jedynie o to, by zostawiono go w spokoju, zupełnie samego. Zaznał tylko jednej przyjemności w swoim smutnym życiu - sławy

swej niezrównanej siły - małej, ale niezawodnej radości, gdy powalał i kruszył wroga, i gdy pękały ogromne głazy gdy przeciwko nim mobilizował swoją zdumiewającą moc.

V.

Wszystko ma swój własny zapach dla tych, którzy mają nosy do rozpoznawania zapachów. Wahb uczył się rozpoznawać zapachy przez całe swoje życie i znał znaczenie większości górskich woni. Było to tak, jakby wszystko i każda rzecz mówiła do niego własnym głosem; a jednak było to coś więcej niż głos, bo każdy wie, że dobry węch jest lepszy niż wzrok i słuch razem wzięte. I każdy z tych miliardów głosów krzyczał, "Jestem tu i jestem tym i tym."

Jagody jałowca, owoce dzikiej róży, truskawki, wszystko miało miękki, słodki głosik, gdy wołało, "Tu jesteśmy - jagódki, jagódki."

Wielkie drzewa sosnowe miały głośny, docierający daleko głos, "Tu jesteśmy, sosnowe drzewa", ale gdy Wahb zbliżał się do nich, mógł usłyszeć przyciszone, słodkie wołanie sosnowych ziaren, "Tu jesteśmy, sosnowe ziarenka."

A korzenie w maju śpiewały doskonale zgranym chórem, gdy wiatr wiał w odpowiednim kierunku, "Korzonki, korzonki."

I gdy Wahb znajdował się między nimi, rozróżniał każdy pojedynczy głos.

Każdy korzeń posiada swą własną melodię wyśpiewywaną do jego nosa, "Tu jestem, smaczny jadalny korzonek," albo cienki, ostry głosik, "A tu jestem ja, nie nadający się do niczego, żylasty gorzki korzeń."

A szeroki, pożywny borowik jesienią wykrzykiwał głośno, "A je jestem tłustym, smakowitym grzybkiem," a trujący muchomor wykrzykiwał, "Ja jestem muchomor, zostaw mnie w spokoju, albo będziesz chorym Niedźwiedziem." I piękny okrągłolistny dzwonek ze zbocza wąwozu również śpiewał swoją pieśń, tak cienką jak jego nitkowata łodyga, i tak miękką, jak jego delikatny błękit; ale strażnik zapachów nauczył go nie zwracać na niego uwagi, podobnie jak na milion innych, które nie miały dla Wahba żadnej wartości.

Tak więc każda mała rzecz, która ruszała się, i każdy kwiat, który rósł i każda skała i kamień i kształt na ziemi opowiadał swoją historię i wyśpiewywał swoją małą opowieść do jego nosa. W dzień czy w nocy, w mgle lub przejrzystym powietrzu, ten wielki, wilgotny nos mówił mu niemal wszystko o rzeczach, które musiał znać, albo omijać obojętnie te, którymi nie warto się było interesować i zależał od tego zmysłu coraz bardziej i bardziej. Jeśli jego oczy albo uszy razem wskazywały na coś, nie wierzył w to, dopóki jego nos nie powiedział, "Tak, to właśnie to."

Ale jest to coś, czego człowiek nie potrafi zrozumieć, bo zaprzedał ostrość swego węchu za przywilej życia w miastach.

Podczas gdy tysiące zapachów były interesujące dla Wahba, tysiące innych pozostawiały go obojętnym, całkiem sporo było nieprzyjemnych, a niektóre wprawiały go w rozdrażnienie.

Często zauważał, że gdy wiał zachodni wiatr, podczas gdy on znajdował się na szczycie wąwozu Piney, pojawiał się jakiś nowy, dziwny zapach. Czasami nie zwracał na niego uwagi, czasami odbierał go jako nieprzyjemny; ale nigdy za nim nie podążał. Jeszcze kiedy indziej, gdy wiał północny wiatr znad rozwidlenia, przynosił najbardziej znienawidzoną woń, jakąś inną niż pozostałe, woń, której musiał za wszelką cenę unikać.

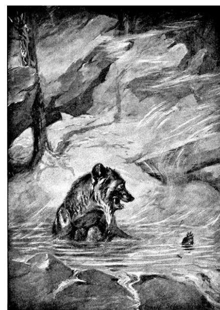
Wahb przekroczył już swój młodzieńczy wiek i zaczął odczuwać bóle w tylnej łapie, która tak często była kaleczona. Po zimnej nocy albo dłużej utrzymującej

się złej pogodzie, ledwo mógł tą nogą poruszać, i pewnego dnia, gdy tak kuśtykał, zachodni wiatr nadciągnął nad wąwóz, przynosząc ze sobą dziwną wiadomość. Wahb nie umiał jasno zrozumieć tej wiadomości, ale zdawała się mówić, "Chodź", a coś w nim odzywało się, "Idź". Zapach jedzenia będzie przyciągał głodnego i odpychał sytego. W ten sposób Wahb czuł się przyciągany przez coś, co zawsze go odpychało, poczłapał więc ociężale górską ścieżką, pomrukując sam do siebie i odtrącając dziko gałęzie, które próbowały smagać go po pysku.

Dziwny zapach wzmagał się aż stał się bardzo silny; zaprowadził go do miejsca, gdzie nigdy wcześniej nie był - nad brzeg z białego piasku i ławę tego samego koloru, gdzie niezdrowo wyglądająca woda przelewała się strumieniem w dół, a coś w rodzaju mgły wydobywało się z szerokiego otworu. Wahb zadarł podejrzliwie swój nos - cóż za wyjątkowy zapach! Wspiął się na ławę.

Jakiś wąż zwijał się przed nim na piasku. Zmiażdżył go jednym ciosem, który sprawił, że okoliczne drzewa zatrzęsły się, w dół posypały odłamki skały, a on zaryczał tak, że jego głos poniósł się po dolinie jak odległy grzmot. Potem wszedł w mglisty otwór. Był on wypełniony wodą, która łagodnie poruszała się i parowała. Wahb włożył do wody jedną łapę, i uznał, że jest całkiem ciepła, a ciepło to przyjemnie podrażniło jego skórę. Wszedł do wody obiema łapami, i ostrożnie, kroczek po kroczku, wchodził dalej, sprawiając, że mały basen wezbrał wodą, która zaczęła przelewać się przez jego krawędzie, aż ułożył się cały w ciepłym, niemal gorącym siarczanym źródle, i oblał się cały potem w zielonkawej wodzie, gdy wiatr rozwiewał parę unoszącą się nad jego głową.

Góry Skaliste obfitują w takie siarczane źródła, ale to źródło było jedynym na terytorium Wahba. Leżał w wodzie przez niemal godzinę; potem, czując że ma już dość, wydobył swe wielkie ciało na brzeg i uznał, że czuje się znacznie lepiej i zdrowiej. Sztywność jego zadniej łapy przeminęła.



Rysunek 9: *"Mały basen wezbrał wodą."*

Strząsnął wodę ze swego kędzierzawego futra. Szeroki skalny występ zachęcił go, aby się na nim położyć i wysuszyć. Ale wcześniej otarł się o pobliskie drzewo, pozostawiając ślad, który nie mógł zmylić nikogo. W istocie, było tam wiele śladów pozostawionych przez inne zwierzęta, które korzystały z kąpieli w źródle, ale cóż z tego? Od tej chwili, gdy drzewo zaczęło nosić ten podpis, w języku błota, sierści i zapachu, każde górskie stworzenie umiało je odczytać:

MOJA ŁAŹNIA. TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA!
(podpisano) WAHB.

Wahb leżał na brzuchu aż grzbiet wysuszył się, potem obrócił się na swe szerokie plecy i zaczął kręcić z boku na bok ociężale aż prażące słońce całkowicie go wysuszyło. Zauważył, że teraz czuje się naprawdę dobrze. Nie powiedział do siebie, "Mam problemy z tym dokuczliwym choróbskiem zwanym reumatyzm a kąpiel siarczana wyleczyła ten problem." Ale to co wiedział, można ująć w takie słowa, "Miałem straszny ból; i poczułem się lepiej, gdy wszedłem do tej cuchnącej sadzawki." Tak więc od tej pory powracał tu kiedykolwiek ból wzmagał się na nowo i za każdym razem lekarstwo przynosiło mu ulgę.

CZĘŚĆ III
SCHYŁEK

I.

Lata mijały. Wahb już nie rósł - nie było takiej potrzeby - ale stawał się coraz bardziej siwy, nieprzystępny i niebezpieczny. Jego terytorium przybrało teraz ogromne rozmiary. Każdej wiosny, po tym jak zimowe burze zacierały jego znaki, obchodził okolicę i odnawiał je. Było to naturalne ponieważ skąpe zapasy żywności zmuszały go do zapuszczania się w odległe rejony. O tej porze roku było wiele gliniastych bagienek do tarzania się, a swędzenie skóry, gdy zimowa sierść zaczynała schodzić, sprawiało, że takie tarzanie się w zimnej, wilgotnej gliniance było niezwykle przyjemne, a przejmujący ból po porządnym ocieraniu się o pień drzewa był największą rozkoszą, jaką znał. Tak więc, jakiekolwiek nie były motywy, efekt pozostawał ten sam: jego ślady pojawiały się na nowo każdej wiosny.

W końcu kowboje z rancza Palette dotarli nad dolną Piney, i szybko rozpoznali ślady "starego, groźnego kumpla". Ranczerzy, gdy go zobaczyli, uznali, że nie mają nic przeciwko Niedźwiedziom, i że lepiej zejść mu z drogi i zostawić go z jego sprawami w spokoju.

Nieczęsto go widywali, chociaż jego tropy i ślady na drzewach były wszędzie. Ale właściciel rancza, urodzony myśliwy, niezmiernie się Wahbem zainteresował. Dowiedział się trochę o historii starego Niedźwiedzia od pułkownika Picketta, a sam dodał do tego jeszcze znacznie więcej.

Dowiedział się, że terytorium Wahba sięgało na południu aż po górne Wiggins Fork a na północy do Stinking Water, a od Meteetsee do kraju Szoszonów.

Dowiedział się, że Wahb wie o pułapkach na Niedźwiedzie więcej niż większość traperów; że z równą łatwością omijał je, jak i potrafił odwracać potrzask tak, że zdejmował przynętę nie podchodząc zbyt blisko do samych szczęk, i że przez przypadek albo rozmyślnie wciskał gałąź między szczęki sprawiając, że się zwierały. Ten właściciel rancza odkrył również, że Wahb znikał ze swojego żerowiska każdego roku na okres największych letnich upałów, i to tak zupełnie, jak znikał w zimie, gdy zapadał w zimowy sen.

II.

Wiele lat temu, mądry rząd postanowił, że tereny w górnym biegu rzeki Yellowstone mają pozostać świątynią dzikiej przyrody na zawsze. W granicach tego cudownego kraju zrealizował się ideał Królewskiego Pieśniarza, i nikt nie mógł tu być

skrzywdzony ani żyć w lęku. Żadnej przemocy nie mogły zaznać ptaki czy inne zwierzęta, żaden topór nie mógł pojawić się w tych pradawnych lasach, a strumienie miały płynąć po wieki wieków, nie zanieczyszczane przez młyny czy kopalnie. Wszystko miało świadczyć, jak wyglądał Zachód, zanim przybył tu biały człowiek.

Dzikie zwierzęta szybko się o tym dowiedziały. Wkrótce nauczyły się rozpoznawać granice tego otwartego Parku i, jak każdy wie, zaczęły ujawniać inną naturę, zamieszkując jego nieskalane granice. Przestały obawiać się widoku człowieka, ani się go bały, ani go nie atakowały, stały się nawet bardziej tolerancyjne w stosunku do samych siebie w tej krainie uchodźców.

Pokój i dostatek są sumą ziemskich dóbr; więc, znalazłszy je tutaj, dzikie stworzenia ściągały do Parku z okolicznych obszarów w liczbie dotychczas niespotykanej.

Niedźwiedzie pojawiają się szczególnie licznie w okolicy Fountain Hotel. W lasach, ćwierć mili w głąb, znajduje się gładka polana gdzie gospodarz tego hotelu przynosi codziennie rozdrobnione odpadki dla Niedźwiedzi; z tego powodu ten, kto się tym zajmuje, nazywany jest Gospodarzem Niedźwiedziego Bankietu. Każdego dnia odbywa się to przyjęcie i każdego roku coraz więcej Niedźwiedzi bierze w nim udział. Jest więc zwykłą rzeczą widok tuzina Niedźwiedzi ucztujących tam w tym samym czasie. Są tam wszystkie gatunki - Czarne, Brunatne, Cynamonowe, Łyse Roachback, Grizzly, Srebrne, duże i małe, całe rodziny i samotnicy, ze wszystkich części rozległej okolicy. Wszystkie zdawały się rozumieć, że w Parku nie zezwala się na żadną przemoc i najbardziej dzikie z nich zmieniły tu swoje zachowanie. Chociaż mnóstwo Niedźwiedzi włóczy się w pobliżu tego wybornego miejsca, i czasami kłócą się między sobą, żaden z nich jeszcze nigdy nie skrzywdził tu człowieka.

Rok po roku przybywali tu i odchodzili. Przejeżdżający tędy podróżnicy widywali je. Gospodarz hotelu poznał wiele z nich dobrze. Wszyscy wiedzieli, że pojawiają się każdego lata podczas krótkiego okresu, gdy hotel jest czynny, i że znikają znowu, nikt nie wiedział skąd przychodzą ani dokąd odchodzą.

Pewnego dnia właściciel rancza Palette przemierzał Park. Podczas gdy zatrzymał się przy Fountain Hotel, udał się na miejsce Niedźwiedzich bankietów w czas, gdy uczta trwała w najlepsze. Było tam kilka Czarnych Niedźwiedzi, ale ustąpiły one miejsca ogromnemu Srebrnemu Grizzly, który przybył o zachodzie słońca.

- Tamten! - powiedział ranczer zaskoczony, gdy Grizzly zbliżył się ociężale, górując między sosnowymi pniami holu bankietowego jak stóg siana. - Tamten! Jeśli to nie jest Wahb znad Meteetsee, to ja chyba w życiu nie widziałem Niedźwiedzia! To najgroźniejszy Grizzly, jaki kiedykolwiek pojawił się w dorzeczu Big Horn.

- To niemożliwe! - oparł drugi, - ponieważ jest on tu każdego lata, lipiec i sierpień i przypuszczam, że nie mógłby żyć aż tak daleko stąd.

- Cóż, wszystko się zgadza, - powiedział ranczer; - lipiec i sierpień to właśnie czas, gdy nie spotykamy go tam; i sam możesz zobaczyć, że jest trochę kulawy na zadnią łapę i brakuje mu pazura w przedniej. Teraz wiem, gdzie się zaszywa w czasie lata; ale nie przypuszczam, że stary rozrabiaka będzie umiał zachować się dobrze z dala od domu.

Duży Grizzly stał się bardzo znany podczas następnego sezonu dokarmiania. Tylko raz naprawdę źle się zachował i było to pierwszego roku, gdy się tu pojawił, zanim poznał zasady, jakie obowiązują w Parku.

Powędrował pewnego dnia w kierunku hotelu aż dotarł przed frontowe drzwi. W holu uniósł swoje wysokie na osiem stóp ciało, siejąc popłoch wśród obecnych; potem skierował się do biura urzędnika. Mężczyzna powiedział: “W porządku; jeśli potrzebujesz tego biura bardziej niż ja, możesz je wziąć,” i przeskoczywszy przez

biurko, zamknął się w biurze telegrafu, aby skontaktować się z kierownictwem Parku: “Stary Grizzly wtargnął do biura, może zniszczyć hotel; czy możemy strzelać?”

Nadeszła odpowiedź: “Strzelanie w Parku zabronione; użyć węża przeciwpożarowego.” Gdy urzędnik użył węża, Niedźwiedź całkowicie zaskoczony, także przeskoczył przez biurko i pokłusował w stronę tylnego wyjścia z ciężkim tupotem stóp i grzechotem pazurów po podłodze. Przebiegł przez kuchnię i porwawszy kawał wołowiny zbiegł.

Był to jedyny raz, kiedy postąpił źle, bo za drugim razem został sprowokowany poprzez naruszenie pokojowych zasad przez innego Niedźwiedzia. Była to wielka Czarna Niedźwiedzica, notowana już kryminalistka. Miała biedne, kalekie szczenię, z którego była niezmiernie dumna - tak dumna, że była skłonna zejść na drogę przestępstwa w jego obronie. A szczenię, jak wszystkie rozpieszczane dzieci, było przyczyną wielu zadrażnień. Niedźwiedzica była tak duża i zapalczywa, że mogła rozłożyć każdego innego Czarnego Niedźwiedzia, ale gdy spróbowała zaatakować starego Wahba, odebrała cios jego łapą, który rzucił nią jak futbolową piłką. Wahb ruszył za nią i byłby ją zabił, bo naruszyła spokój Parku, ale uciekła, wdrapując się na drzewo, z wierzchołka którego słyszała jak jej nieszczęsne szczenię, lękliwie skowytało swoim piskliwym głosem. Tak zakończyła się awantura; później Czarna Niedźwiedzica schodziła Wahbowi z drogi, a on zyskał opinię spokojnego, dobrze sprawującego się Niedźwiedzia. Większość ludzi wierzyła, że przybył tu z jakichś odległych gór, gdzie nie było ani strzelb ani potrzasków, które mogły uczynić zeń ponurego i żądnego zemsty.

III.

Każdy wie, że Grizzly z Bitter-root jest niebezpiecznym Niedźwiedziem. Tereny Bitter-root są najdzikszą częścią gór. Ziemia jest wszędzie poorana głębokimi wąwozami i porośnięta gąszczem splątanych zarośli.

Jest to kraj niedostępny dla koni i trudny dla myśliwych, ale że obfituje w dobre pożywienie dla Niedźwiedzi, jest tam zawsze dużo Niedźwiedzi i traperów.

Niedźwiedzie Roachback, jak nazywane są Niedźwiedzie z Bitter-root, są przebiegłą i zdecydowaną na wszystko rasą. Stary Roachback wie więcej o potrzaskach niż połowa zwykłych myśliwych; wie więcej o roślinach i korzeniach niż cały zastęp botaników. Może powiedzieć nieomylnie, kiedy i gdzie można znaleźć każdy rodzaj pędraków i dżdżownic, i rozpoznaje po zapachu czy myśliwy, podążający jego śladem, poluje ze strzelbą, zakłada trutki, czy ma psy, sidła czy też wszystko razem. I posiada jedną główną zasadę, która jest niezmiennie kłopotliwa dla polujących: “Cokolwiek zdecydujesz się zrobić, zrób to szybko i idź za ciosem.” Więc gdy traper i Roachback spotykają się, Niedźwiedź natychmiast podejmuje decyzję i ucieka tak szybko, jak tylko może, albo rzuca się na człowieka i walczy do ostatka.

Grizzly z Bad Lands nie postępują w ten sposób: zazwyczaj wyprostowują swą dostojną postać i wydają z siebie ryk przypominający grzmot, dają w ten sposób myśliwym okazję użycia ich śmiercionośnej broni; a broń ta jest gorsza od najgorszego pioruna. Ludzie przywykli do tego ryku przetaczającego się po ziemi i docierającego do małych chat, zamieszkałych przez odważnych myśliwych; jednak Niedźwiedzie nie potrafią używać karabinów model 45-90 i ostrej amunicji, i właśnie dlatego Grizzly z Bad Lands zostały wszystkie zabite.

Tak więc myśliwi nauczyli się, że nigdy nie wiadomo co zrobi Roachback; ale wiedzieli, że zrobi to szybko.

Tym samym Grizzly z Bitter-root doskonale uporali się z tym życiowym problemem, jakim jest biały człowiek, i liczba ich ciągle rośnie na obszarach dzikich gór.

Oczywiście dany teren może wyżywić tylko pewną ilość Niedźwiedzi; tak że, gdy pewien smukły, młody Roachback uświadamiał sobie, że na danym terenie nie uda mu się przeżyć, z konieczności odchodził by szukać szczęścia gdzie indziej.

Nie był to wielki Niedźwiedź, bo gdyby był, nie dałby się przepędzić; ale otrzymał dobre wykształcenie, więc był wystarczająco przebiegły, żeby dać sobie radę gdziekolwiek indziej. To, jak powędrował na południe w góry nad rzeką Salmon i jak mu się tam nie spodobało; jak przemierzał kraj aż dotarł do zagród z kolczastego drutu na równinach Snake River Mountains, gdzie znalazł więcej myśliwych niż jagód; jak wkroczył do kraju Tetonów i z odrazą ujrzał kłębiących się ludzi w kolonii Jackson's Hole, nie ma nic wspólnego z historią Wahba. Ale gdy Łysawy Roachback wkroczył na teren Gros Ventre i dalej za rozwidlenie Wind River, docierając do wezgłowia Graybull, wkroczył tym samym do naszej opowieści, tak samo, jak wkroczył do kraju i życia Grizzly znad Meteetsee.

Roachback nie napotkał śladów człowieka, odkąd opuścił Jackson's Hole, a tu znalazł kraj obfity w pożywienie. Delektował się wszystkimi przysmakami, jakie oferowała pora roku, i żył w tym łatwym do przeżycia, z rzadka porośniętym kraju, aż napotkał jeden ze znaków Wahba.

"Przechodniu, strzeż się!" - mówił znak w języku czytelnym dla mieszkańców równin. Roachback stanął dęba, opierając się o drzewo.

"Do diabła! Co za Niedźwiedź!" - najwyższy ślad na korze był o głowę powyżej zasięgu Łysawego. I tutaj, zwykły Niedźwiedź wycofałby się cichutko po takim odkryciu; ale Łysawy czuł, że w tych górach jest jego dom, i że pozostanie tu, trzymając się z dala od tego olbrzyma. Zaczął węszyć dokoła, zachowując czujność przed obecnym właścicielem terenu, i ruszył dalej żywiąc się wszystkim, co napotkał.

Krok albo dwa od tego złowieszczego drzewa znajdował się stary sosnowy pniak. W górach Bitter-root często pod takimi pniakami ukryte były mysie legowiska i Łysawy wyrwał go aby zobaczyć co się pod nim kryje. Nie było tam nic. Niepotrzebny pniak potoczył się pod oznakowane drzewo. Łysawy ledwo zwrócił na to uwagę; ale zaraz przyszedł mu do głowy chytry pomysł. Obrócił swoją głowę w kierunku drzewa, potem pniaka. Przyjrzał mu się, potem spojrzał na znak swymi małymi, podobnymi do świńskich, oczami. Następnie rozmyślnie stanął na sosnowym pniaku, plecami zwracając się w kierunku drzewa i pozostawił swój ślad o głowę albo więcej ponad śladem Wahba. Ocierał swój grzbiet długo i mocno, nabrawszy trochę błota i wysmarowawszy swój łeb i kark, powrócił i pozostawił ślad tak duży, tak wyraźny, na tak dużej wysokości i przypieczętował go rozdrapując korę drzewa pazurami, że można go było odczytać tylko w jeden sposób - jako wyzwanie dla obecnego gospodarza, rzucone przez jakiegoś monstrualnego napastnika, który jest gotowy, a nawet niecierpliwy, aby walczyć o prymat na tym pożądanym żerowisku.



Rysunek 10: *"Rozmyślnie stanął na sosnowym pniaku."*

Być może przypadkiem, a może był w tym świadomy zamysł, gdy Roachback

zeskoczył z pniaka, ten odtoczył się spod drzewa na bok. Łysawy ruszył w dół wąwozu pilnie wypatrując swego wroga.

Nie trwało długo i Wahb odnalazł ślad intruza, a wtedy cała jego zajadłość, którą posiadał zanim przywędrował do Parku, odżyła.

Podążał tropem całymi milami niejeden raz. Ale mały Niedźwiedź był nie tylko bystry w pomysłach, ale też w nogach i nigdy się nie pokazywał. Za to pozostawiał prowokujące ślady na każdym oznakowanym drzewie, i jeśli tylko mógł znaleźć sposób na oszukanie przeciwnika, tak żeby jego ślad pojawił się wyżej, robił to z wigorem i pozostawiał duży, widoczny znak. A gdy nie było szans na oszustwo i mógł pozostawić jedynie uczciwy ślad, nie zbliżał się nawet do drzewa, tylko wyszukiwał nowe nieopodal, gdzie jakiś konar, albo boczny odrost dawał szansę sięgnięcia wyżej.

W ten sposób Wahb wkrótce odkrył, że ślady intruza górują nad jego własnymi - najwidoczniej intruz jest ogromnym Niedźwiedziem, tak, że nawet on nie mógł być pewny swojej wyższości. Ale Wahb nie był tchórzem. Był gotowy walczyć do ostatka z każdym, kto by się pojawił; więc przetrząsał całe żerowisko w poszukiwaniu napastnika. Dzień po dniu Wahb szukał go i utrzymywał się w gotowości do walki. Znajdował jego ślady codziennie i coraz częściej były to ślady na drzewach pozostawione powyżej jego własnych. Często wyczuwał jego woń w powietrzu; ale nigdy go nie widział, bo oczy starego Grizzly stają się mało przenikliwe; rzeczy nawet w niewielkiej odległości rozmazywały się przed jego wzrokiem. Ciągłe zagrożenie przepełniło Wahba niepokojem, ponieważ nie był już młody i jego zęby i pazury były starte i przytępione. Bardziej niż kiedykolwiek dokuczały mu dawne rany i chociaż był w stanie poderwać się do góry i rzucić w jednej chwili do walki z całą bandą Grizzly wszelakiej wielkości, jednak ciągła obawa, świadomość, że musi się utrzymywać w ciągłej gotowości do walki z tym młodym potworem, zaciążyła na jego duchu i odbiła się na zdrowiu.

IV.

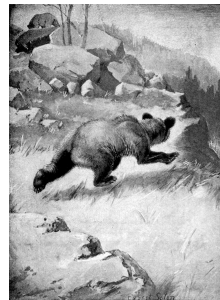
Życie Roachbacka było jedną nieustanną wędrówką, zawsze przygotowany do ucieczki, lawirujący i zmieniający swoje szlaki, aby uniknąć konfrontacji, która dla niego musiałaby oznaczać śmierć. Wiele razy obserwował wielkiego Grizzly z ukrycia, trzęsąc się, aby wiatr niosący jego zapach nie zdradził go. Niejeden raz jego zuchwałość ocaliła mu życie, i więcej niż raz był bliski osaczenia w ślepym wąwozie. Raz uciekł tylko dzięki temu, że był w stanie wdrapać się na grań przez wąską szczelinę, która dla wielkiej postury Wahba była przeszkodą nie do pokonania. Ale wciąż, z uporem szaleńca, pozostawiał swoje znaki na drzewach w głębi terytorium.

Wreszcie wyczuł i skierował się w stronę siarczanej łaźni. Nie rozumiał co to jest. Nie pociągało go to, ale znalazł tam ślady właściciela. W odruchu złoczyńcy Roachback obrzucił źródło błotem, a gdy zobaczył naznaczone drzewo, stanął bokiem na skalnej półce i w ten sposób był w stanie nanieść swój ślad pełne pięć stóp ponad znakiem Wahba. Następnie nerwowo zeskoczył ze skały i zaczął biegać tu i tam, profanując źródło i bacznie wypatrując, gdy usłyszał odgłos dochodzący z gęstwiny poniżej. Natychmiast wytężył swoje zmysły. Odgłos zbliżał się, a potem wiatr przyniósł niezbity dowód i Roachback z przerażeniem odwrócił się i umknął do lasu.

Był to Wahb. Ostatnio jego zdrowie się pogorszyło; jego dawne bóle znowu nim zawładnęły, ogarniając zarówno zadnią łapę, jak i kark, w którym wciąż tkwiły dwie karabinowe kule. Czuł się bardzo chory i osłabiony bólem. Przyszedł do znanego mu miejsca utykając, a tu wyczuł zapach swego wroga; potem dostrzegł ślady na błocie - jego oczy dostrzegły, że były to ślady pozostawione przez małego Niedźwiedzia, ale

jego wzrok był słaby, a nos, jego nieomylny nos, podpowiadał mu "To jest ślad tego ogromnego napastnika." Zaraz potem zbadał drzewo ze swoim śladem, a tam znalazł znaki wysoko ponad jego, bez wątpienia pozostawione przez obcego. Jego oczy i nos były tym razem zgodne; i co więcej, podpowiedziały mu, że wróg jest nieopodal i może nadejść w każdej chwili.

Wahb był chory i osłabiony z bólu. Nie był w nastroju do desperackiej walki. Bitwa z takim potworem w tym momencie byłaby szaleństwem. Więc zrezygnował z leczniczej kąpieli, odwrócił się i umknął w kierunku przeciwnym niż wyczuwał obecność obcego - po raz pierwszy od swoich szczenięcych lat ustąpił przed walką.



Rysunek 11: *"Odwrócił się i umknął do lasu."*

Był to punkt zwrotny w życiu Wahba. Gdyby podążył za obcym, znalazłby nieszczęsne, małe stworzenie trzęsące się, kryjące z przerażenia za obalonym pniem odgradzającym polanę zaledwie pięćdziesiąt jardów dalej i niechybnie rozniósłby go swoim ciosem. Gdyby chociaż zanurzył się w gliniance, jego siły i odwaga wzmocniłyby się, a gdyby nawet nie od razu, pewnie któregoś dnia napotkałby swojego wroga i jego dalsze życie potoczyłoby się inaczej. Jednak on zawrócił. To było rozwidlenie w szlaku jego życia, ale on nie miał możliwości, żeby rozpoznać prawidłowy kierunek.

Pokuśtykał, przemierzając niższe wzniesienia kraju Szoszonów i wkrótce natrafił na ten budzący trwogę zapach, który znał przez lata, za którym nigdy nie podążał, którego nie rozumiał. Było to dokładnie na jego drodze, i odnalazł to w małym, jałowym wąwozie, który zasypany był szkieletami i ciemnymi przedmiotami i Wahb, mijając to miejsce, wyczuł woń wielu różnych zwierząt, i zorientował się, że leżały one martwe w tej bezdrzewnej, pozbawionej trawy dolinie. Ponieważ była tam szczelina w zboczu przy wierzchołku na drugim końcu doliny, skąd wydobywał się niosący śmierć gaz; niewidzialny ale silny, wypełniał mały parów swoją trucizną jak misę, i przy jednym z brzegów przelewał się na zewnątrz. Ale Wahb czuł tylko, że powietrze, które stamtąd dolatuje, czyni go oszołomionym i sennym i odpycha go, więc szybko wycofał się z tego miejsca i jeszcze raz poczuł ulgę, gdy mógł zaczerpnąć powietrza przesyconego zapachem sosen. Gdy Wahb raz zdecydował się wycofać, kolejne ustępstwa przyszły aż nazbyt łatwo; a efekt doprowadził do podwójnej katastrofy. Ponieważ wielki obcy zawładnął zdrowotnym źródłem, Wahb czuł, że raczej nie powinien tam chodzić. Czasami, gdy napotykał na ślady swego wroga, strumień jego dawnej odwagi powracał. Wydobywał z siebie to przypominające grzmot warczenie jak za dawnych lat i cierpiąc kuśtykał, śledząc trop aby rozprawić się z wrogiem raz na zawsze. Ale nigdy nie mógł dopaść tego tajemniczego olbrzyma, a jego reumatyzm, który teraz, pozbawiony lekarstwa nasilił się, z dnia na dzień czynił go coraz mniej zdolnym zarówno do biegu, jak i do walki.

Czasami Wahb wyczuwał zbliżającego się wroga, gdy był w złym miejscu do walki i, bez możliwości szybkiego biegu, jęczał z żalu, że warunki nie sprzyjają walce, w której mógłby mieć równe szanse. Te lepsze warunki nigdy nie pozwoliły mu zbliżyć się do nieprzyjaciela, bo jest rzeczą wiadomą, że gdy się czeka, przeciwnik zyskuje przewagę.

Czasami Wahb czuł się tak słabo, że podejmowanie walki byłoby szaleństwem, a gdy czuł się lepiej, jego wróg zdawał się trzymać z dala.

Wahb wkrótce zorientował się, że ślady obcego najczęściej napotykał na Warhouse i zachodnim zboczu Piney, czyli najlepszych terenach żerowiska. Unikanie go, wtedy gdy nie czuł się na siłach aby walczyć, było rzeczą naturalną, a ponieważ ostatnio niemal cały czas był mniej lub bardziej w złej kondycji, oznaczało to pozostawienie dla obcego najlepszych terenów.

Minęły tygodnie. Wahb wielokrotnie zamierzał udać się do zdrowotnego źródła, ale nigdy tam nie poszedł. Jego bóle nasilały się; czuł niedowład w karku i w tylnej łapie.

Przedłużające się wyczekiwanie na walkę zamieniło się w niepokój, który wiązał jego wolę, co w połączeniu ze słabnącą siłą, podłamywało jego ducha walki, jak bywa zawsze, gdy odwaga opiera się na sile mięśni. Jego wysiłki koncentrowały się teraz nie na poszukiwaniu okazji do starcia, ale na unikaniu wroga do czasu, aż powrócą mu siły.

W ten sposób ten mały pierwszy krok wstecz urósł do rozmiarów powolnego długiego odchodzenia w defensywę. Wahb musiał przemieszczać się dalej i dalej w dół Piney aby uniknąć starcia. Z każdym dniem odżywiał się gorzej, i gdy przeminęły tygodnie, był coraz słabszy, by pokonać wroga.

Żył i ukrywał się teraz nad dolną Piney - dokładnie w miejscu, gdzie przed laty jego Matka przyprowadziła go wraz z jego rodzeństwem. Życie, które teraz wiódł przypominało czasy po tym czarnym dniu. Być może z tego samego powodu. Gdyby miał swoją rodzinę, mogłoby być zupełnie inaczej. Gdy tak kuśtykał pewnego poranka, przemierzając osikowe zagajniki w poszukiwaniu korzeni, albo jagód, które były mało interesującym żerem dla Wiewiórek i Pardw, usłyszał grzechot kamyków u podnóża zachodniego zbocza w leśnej gęstwinie i chwilę później, wiatr przyniósł woń obcego. Musiał brnąć przez lodowato-zimną Piney - którą dawniej mógł przeskoczyć - a zimna woda nasiliła bóle, które przeszyły go do szpiku kości i zdawały się sięgać do samego źródła jego sił żywotnych. Wycofał się po raz kolejny - ale w którą stronę? Zdawało się, że jedynym kierunkiem jest - w stronę nowych zabudowań rancza.

Oznaki gospodarskiej działalności były wyczuwalne na długo zanim ujrzał zabudowania. Jego nos, najbardziej zaufany przyjaciel, mówił, “Zawróć, zawróć i szukaj wzgórz,” i zawrócił, chociaż ryzykował w ten sposób, że natknie się na swego strasznego wroga. Wędrował powoli, powłócząc nogami, wzdłuż północnego brzegu Piney, trzymając się wąwozów i zarośli. Spróbował wspiąć się na zbocze, na które często wbiegał z pełną szybkością. Gdy był w połowie drogi jego nogi odmówiły posłuszeństwa i stoczył się na dół. Długa, okrężna droga była teraz jedyną, bo musiał iść przed siebie, iść i iść. Ale dokąd? Wydawało się, że nie ma już innego wyjścia i będzie musiał pozostawić całe żerowisko temu strasznemu obcemu.

I czując, jak tylko Niedźwiedź może czuć, że jest przegranym, pokonanym, zdetronizowanym na koniec, że jest przepędzony ze swego wieloletniego terenu przez Niedźwiedzia zbyt silnego by mu się przeciwstawić, zwrócił się w kierunku zachodniej odnogi i jego ojczyzna zniknęła za jego plecami. Siła i szybkość opuściły jego niegdyś potężne ramiona; trzykrotnie więcej czasu niż dawniej potrzebował, żeby wspiąć się na każde tak dobrze znane wzniesienie, a gdy szedł oglądał się od czasu do czasu za siebie, czy nie jest ścigany. Dalej, poza pasmem niewielkich wzniesień, znajdował się kraj Szoszonów, ponury, zapomniany; nie było tam wrogów, a Park nie sięgał poza jego granice i tam - tam musiał pójść. Ale gdy wspiął się na trzęsących się nogach, robiąc krótkie, niepewne kroki, zachodni wiatr przyniósł woń Death Gulch, tej strasznej małej dolinki, gdzie wszystko było martwe, gdzie samo powietrze niosło śmierć. Wcześniej odpychało go to miejsce i trzymał się od niego z daleka, ale teraz czuł, że ma ono coś do zaoferowania; był przyciągany przez nie. To miejsce było kolejnym

etapem w jego życiu i wolno pokuśtykał w jego kierunku. Podszedł bliżej i bliżej, aż stanął u samego wejścia. Szakal, który zszedł w dolinę aby pożywić się leżącą tam padliną, powoli zapadał w sen nie tknąwszy ścierwa. Wahb zakołysał na wietrze swym wielkim kędzierzawym łbem i długą białą brodą. Woń, którą wcześniej się brzydził, teraz wydawała się pociągająca. Była w niej jakaś silna, uderzająca jakość. Jego ciało pragnęło tego. Bo woń zdawała się znieczulać jego ból i obiecywała sen, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczył to miejsce.

Daleko poniżej miejsca, gdzie stał, na prawo i na lewo i na przedzie, tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem, rozciągało się wielkie królestwo, które dawniej było jego ojczyzną; miejsce, gdzie spędził całe dorosłe życie w chwale swojej siły; gdzie nikt nie ośmielił się stanąć z nim twarzą w twarz. Cała ziemia nie miała dla niego większego uroku niż ten kraj. Ale Wahb nie myślał o jego pięknie; wiedział tylko, że był to dobry kraj, w którym przyszło mu żyć; że to był jego kraj, ale teraz przeminął, bo jego siła przeminęła, a on uciekał, żeby znaleźć miejsce, gdzie będzie mógł w spokoju odpocząć.

Faktycznie, poza krajem Szoszonów była droga do Parku, ale była daleko, bardzo daleko, z niepewnym końcem długiej, niebezpiecznej wędrówki. Ale dlaczego iść tak daleko? Tu, w tej małej dolince było wszystko, czego szukał; tu był pokój i kojący bóle sen. Wiedział to; bo jego nos, nigdy nieomylny nos, mówił, "Tutaj, tutaj teraz!"

Zatrzymał się na chwilę przy wejściu, a gdy stał, niesione przez wiatr fluidy zaczęły niepostrzeżenie działać. Pięć zmysłów było jego wiernymi strażnikami przez całe życie, a teraz najlepszy z nich, do którego miał największe zaufanie, otworzył szeroko drzwi, które tak długo trzymał zawarte. Wahb wciąż pozostawał nieruchomo. Ale inny zmysł odezwał się w nim. Anioł Dzikiej Natury stał tam, kiwając na niego, w tej małej dolince. Wahb nie rozumiał. Miał za słaby wzrok, aby dojrzeć łzę w oczach Anioła, ani współczującego grymasu, który z pewnością był na jego ustach. Nawet nie mógł dojrzeć samego Anioła. Ale czuł go kiwającego, kiwającego.



Rysunek 12: *"Zatrzymał się na chwilę przy wejściu."*

W swej szorstkiej piersi Niedźwiedzia Grizzly poczuł przypływ dawnej odwagi. Obrócił się w stronę małej doliny. Śmiertelne opary wniknęły do wnętrza, wypełniły jego szeroką pierś i załaskotały w jego ogromnych, dzielnych członkach, gdy spokojnie kładł się na skalistym, pozbawionym roślinności podłożu i łagodnie zaczął zapadać w sen, tak jak wtedy, gdy wtulał się w ramiona swojej Matki nad Graybull, dawno, dawno temu.

KONIEC